Nr. 11. (dodatkowy). Lwów dnia 23. Kwietnia 1883. Rok VI.

# DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

## Obrazki caryzmu.

### Pamiętniki J. GORDONA.

*(Ciąg dalszy)*

Zdumiałem na ten widok. Nigdy o niczem podobnem nie miałem wyobrażenia nawet. Zdawało mi się z początku, że to strachy; lecz potem myślę, pocóżby nas straszono? wszak tu nie należymy do komisji śledczej, oddani już jesteśmy władzy wykonawczej.

Miałożby się to więc wykonać? — podobne bransoletki — a niechże was! — Takie tortury i za co?

Krew się we mnie ścinała z oburzenia.

Przypomniałem sobie, że kurlandczyk napomknął mi nawiasowo, iż komendant twierdzy, a jego prześladowca, dopuszczał się także różnych nadużyć, przeciwnych prawu, z przechodniami, przez obawę, aby nie chronili się ucieczką wśród wołyńskich lasów.

Zakują więc, gdzie tu prawa szukać? Żołnierze odejmują kłódki, już zsuwają z zardzewiałych prętów rękojeście, słowem, przygotowują wszystko do operacji.

W końcu zjawia się i pisarz z listą imienną, wyzywa każdego zamieszczonego na niej, po kolei, gdy tymczasem żołnierze przyczepiają go za rękę do pręta. Już nie ma żadnej wątpliwości — przyszła kreska i na mnie.

Ale ja ani chcę słyszeć o łańcuchach i opędzam się jak mogę, przechadzając się szerokim krokiem po kancelarji.

— Szto eto? szto eto? buntowszczyk? woła pisarz, jak oparzony.

— To to, że nie pójdę przy pręcie!

Wpatruje się we mnie, jak gdyby badał moją bieliznę i haftowany kaftanik, wysuwające się z pod siermięgi.

— Pajdiosz — pajdiosz! rzecze, przeciągając z ironją.

— Ja dla ciebie nie ty, ale wy, dworjanin — generalski syn! — dodałem na ryzyko. Nie śmiej mię tykać, rozumiesz?

Pisarz wytrzeszczył oczy, i odpowiedział że nie ma dokumentu na moje szlachectwo— chyba, że sam posiadam takowy, dodał chrapowatym od pijaństwa głosem, z pewnem mrugnięciem i znaczącym uśmiechem...

Wiedząc, że najlegalniejszym dokumentem dla podobnych oprawców w takiej okoliczności, będzie to żółty imperjał, już wsunąłem rękę pod siermięgę, by oderwać guzik od kaftanika, gdy drzwi się otwierają: wchodzi otyły naczelnik od inwalidów, a za nim, proszę zgadnąć kto? Oto poczciwy litwin, mój anioł opiekuńczy, którego straciłem już nadzieję oglądania, jakkolwiek zmieniając się z warty, pożegnał mię tylko: do widzenia. Rzuciliśmy się sobie w objęcia. Następnie polecił on mię względom naczelnika, a gdy ten odszedł, litwin jeszcze pozostał, wyprowadził mię i zalecił podoficerowi mającemu konwojować zakutą partję, aby zważając na moją młodość, miał o mnie staranie w podróży, jak o własnem oku.

Podoficer, wyciągnięty jak struna, słuszaju! odpowiada, a ja swobodny od więzów, przedłużam drogę.

### VI.

### Wspomnienia o Wołyniu.

Rozum mi nakazywał, ażebym, im dalej będę postępował w drogę, tem więcej jednał sobie względów; gdyż co kilka dni, gdy się przybywa do punktu, podoficer, zdając następnemu partję, daje zarazem świadectwa o indywiduach w niej się znajdujących; mnie zaś, jak każdemu więźniowi, zależało na tem, abym miał rekomendacje jak najlepsze. Nie szczędziłem więc w potrzebie i złotówek dla podoficerów w celu przeciągnięcia ich na swą stronę, bo tylko tym sposobem mogłem, choćby na kilka cali, rozszerzyć me pęta! Pomimo tego jednak, postanowiłem ile możności najmniej odpruwać mych pieniężnych guzików.

Zauważyłem, że o ile kozacy byli ludzcy pod niektórymi względami dla aresztowanych, o tyle inwalidzi bez litości; lecz o ile pierwsi ostrzy w wypełnianiu służbowych obowiązków, o tyle ostatni zepsuci dwudziesto-pięcioletnią służbą u cara, co mię mocno, choć względnie cieszyło.

A tak, gdy zbadałem nieco otaczających nieprzyjaciół, już nie byli oni tyle straszni; już w postępowaniu z nimi, nie szedłem za popędem bojaźni, ale czystego rozumowania, wynajdując, że tak powiem, sposoby ratowania się na sposoby ucisku. I lepiej mi z tem było.

Jedyna boleść, jakiej nic stłumić nie zdołało, był smutny widok ziomków, wleczonych jak trzoda i do tego na zakówkach, środkiem gościńca; po kilkunastu ściśniętych przy jednym pręcie; jeźli było błoto, bryzgających jeden drugiego; jeźli kurzawa, otoczonych i oddychających czarnym tumanem pyłu, wydobywającego się z pod stóp tylu ludzi nagromadzonych razem i osiadającego na ich spotniałych od trudu twarzach; na co ciągle idąc ścieżką obok gościńca, patrzeć musiałem. Gdy jeden z nich potrzebował się zatrzymać, cała partja za nim, naturalnie, toż samo uczynić zniewoloną była; gdy jednemu wypadło się schylić, pociągał za sobą drugich; a na ich rekach widać było krwawe piętna od obcierania o żelazną sprzężę.

Na noclegach rozkuwano ich tylko z rozkazu oficera na punktach etapnych, gdzie zwykle dla odpoczynku, przepędzało się tak zwaną dniówkę; lecz w drodze, wszyscy jak mrowisko zmieszani, ległszy na ziemi jak mogąc, jedni na drugich, z wyciągniętą dłonią do preta, zasypiali, jeźli nie byli w stanie zrobić między sobą składki, by okupić u sołdatów jedną noc spokojną. Za najmniejsze opieranie się rekrutów, smagano ich rózgami. Często przywiedziony do gniewu tem tyrańskiem z nimi obchodzeniem się, rozpoczynałem kłótnie z żołdactwem, dla którego nic nie ma świętego; ale mi odpowiadano: Nie wasze dieło mieszat'sia! I rzeczywiście, nie mogąc przynieść pomocy nieszczęśliwym, wyjąwszy w drobnych usługach, mogłem tylko zaszkodzić sobie przez zawodzenie próżnych sporów.

Ciemięzca znieść tego nie może, zarówno gdy za sobą, jak za drugimi, przemawiamy.

Czasami napisałem do dworu po żywność dla biednych, lecz z nadesłanej żołnierze większą część dla siebie chwytali.

Na pierwszej stójce za Brześciem, bez wątpienia poszedłbym był pod klucz z mymi towarzyszami niedoli, bo tu nowa władza; zapobiegając temu, wyciągam list od kurlandczyka i posyłam go kapitanowi. Wezwał mię; kazał, zwyczajem rosyjskim, nastawić samowar; poczęstował czajem (herbatą) i sam popijając, gawędził to o tem, to o owem; potem zdjął z okna małe pudełeczko z kompasem, który kupił podobno od koczującego kramarza i poprosił, abym mu objaśnił jego użytek i znaczenie. Z wielkiem zadowoleniem słuchał, co mu w tym przedmiocie mówiłem; dziwiło go tylko i naiwnie

to wyrażał, jak też rząd ludzi, co takie rzeczy umieją, miesza z wyrzutkami społeczeństwa. Słowem, był to sobie dobriaka, jakich armja rosyjska ma wielu. W końcu, pozwolił przenocować w karczmie, z przydanym niby do usług żołnierzem.

Przed odejściem, ofiarował mi także paczkę czaju twierdząc, że jest wyśmienity, bo pochodzi z najżyźniejszej gubernii Rosji: aż z Pekinu. Oh! te słowa grubej nieświadomości oficera rosyjskiego, mogą kiedyś stać się prawdą geograficzną, jeźli Europa zachodnia nie będzie się mieć na baczności!

Bądź co bądź, w karczmie choć wiele zastałem gawiedzi, atoli tułając się ustawicznie po więzieniach, weselej mi na ten raz było wśród chłopków, kumoszek, igrających kociąt i wesołej, udatnej szynkarki; było w tem wszystkiem bowiem coś familijnego.

Odbywając dalszą podróż podobnym torem, przybyliśmy do Kowla. Tu miałem tylko liścik do sekretarza marszałka. Już nas powiedziono w rynek na odwach, ale postrzegłszy gromadkę ciekawie nam się przyglądających żydków, jakby upatrujących między nami dzieci izraelskich, korzystając z czasu i sposobności, rzucam jednej z żydówek mój list, mówiąc: zanieś to czemprędzej do bióra marszałka. Hoża żydóweczka, zaledwie go pochwyciła, pobiegła jak strzała; mnie zaś zamknięto do dalszego rozporządzenia.

Zauważyłem, że coś w brudnej kazamacie trzeszczało pod nogami: było to robactwo.

Na szczęście, pół godziny nie upłynęło, gdy naczelnik przybywa i oznajmia, że na prośbę zaniesioną do niego, kapitana i naczelnika, łaskawie dozwolić mi raczy udać się do sekretarza marszałka, a nawet jutrzejszą dniówkę tam spędzić, z warunkiem atoli, że na noc winienem powracać na odwach i spać w izbie feldfebla. Radość moja była wielka.

Pokłoniłem się epoletom kapitana i naczelnika i rozumie się, nie dałem sobie powtarzać pozwolenia, ale nie tracąc chwili, pobiegłem złożyć uszanowanie zacnemu rodakowi. Oczekiwał mię w ganku. Nigdy on nie wygaśnie w mem sercu i pamięci; w domu rodziców nie doznałbym więcej opiekuńczej troskliwości ile u niego.

Dziwnie musiałem się wydawać obok uprzejmej gospodyni domu, siedząc na kanapie w mojej, czyli raczej skarbowej siermiędze buryku, podobny do niedźwiedzia sybirskiego. Z tem wszystkiem, dosyć prędko zaprzyjaźniliśmy się; ona wzruszona moją niedolą, ja wdzięczny za jej i męża współczucie.

Była to Niedziela.

Wieczorem poschodzili się goście: kilka panien, z pomiędzy których przypominam sobie dwie siostry angielki de Lassy; ksiądz proboszcz i dwóch obywateli ziemianinów.

Zagadałem się bardzo z mężczyznami nie uszło jednak mej uwagi, że damy wyniosły się do drugiego pokoju, pruły i strzygły jakąś suknię i przez cały wieczór szybko igiełki przesuwały się w ich palcach. Wyszły nakoniec, dając mi piękną merynosową bluzę w darze, zaimprowizowaną ich rączętami.

Brawo! zawołali mężczyźni.

Właśnie też i do wieczerzy nakrywano; potrzeba zatem było pomyśleć i o swej toalecie. Z pomocą sołdata w przedpokoju, zrzucam obmierzły buryk, a natomiast nadziewam bluzę, przepasuję się safianowym paskiem, i po takiej metamorfozie zasiadam do zastawionej wieczerzy, w gronie poczciwych wołyniwianek.

Nieszczęśliwy zapomina o swem nieszczęściu, kiedy się znajdzie wśród polek: nieznośny ciężar na krótką chwilę spadł z serca. Jeszcze raz podziękowałem panienkom za ich podarunek, który z taką radością i zaufaniem przyjąłem, z jakiem sławny Russo przyjął flanelową sukienkę od hrabiny Epinay dla zrobienia sobie kaftaników; a nazajutrz, zawdzięczając jak mogłem, odczytałem im Konrada Wallenroda.

Gdy Konrad deptał swój płaszcz mistrza z pogardą, panienkom łezki w oczach błyszczały; mnie szary płaszcz wrażał się mimowolnie w pamięć.

Wybiła nakoniec, niestety, godzina rozstania. Z żalem opuszczałem Kowel.

Jeźli kiedy to w on czas wspomniałem słowa Malczewskiego:

> W tym widzę dziwnym świecie wiatr pociechę wodzi,
> Bo ledwo witać zdążysz, żegnać się przychodzi.
> I częstokroć na zawsze!

* * *

Russo, pisząc przez lat 20 swą książkę, którą nazwał Spowiedzią, przedstawił nam w najprostszych rysach pełny rozwój życia człowieczego. Lamartinowi zarzucano, że ogłaszał swoje „Zwierzania się.“ Nie mam ja bynajmniej pretensji wchodzić, jak to wolno było znamienitemu filozofowi lub poecie, w drobne szczegóły własnej biografii — nie zaiste — atoli cóżbym dał za to, gdyby mi wolno było choć od 1846 roku, daty, od której zaczynam opowiadanie moich przygód, prowadzić dzienniczek wszystkiego co się widziało, słyszało, myślało i czuło; dzienniczek, mogący posłużyć obecnie za materjały! Lecz żyjąc pod rządem, gdzie nawet wygadanie się przez z swych uczuć mogło było być poczytane za występek, dziś jedynie ze zgliszczów ubiegłej przeszłości odkopuję niniejsze obrazki.

W tej chwili naprzykład, różnorodne, zamglone czasem wspomnienia wirują bez ładu w mej głowie. Różne postacie, grupy, mogiły, szkielety dopominające się natrętnie, cierniowe korony, biegą w pamięci, jak stada ptaków odlatujących pod jesień. Chcę je ścigać, chwytać, lecz one mieszają się i nikną, jak blade meteory. Z wypadków tylko, które wyryły się niejako w młodocianej duszy, usnute naprędce szkice, zapisuję tu z nieśmiałością. Niech je czytelnik w swem sercu wykończy.

Postępującemu z Brześcia ciągle ku południowi, przez Kowel do Łucka, Wołyń, jako miejscowość w dosyć posępnej ukazuje się panoramie. Zaraz za Bugiem, nagła zmiana krajobrazu uderza wzrok podróżnego. Znikły już gustowej architektury stacje pocztowe, wspaniałe domy zajezdne, jakby pałace; zakłady fabryczne, murowane wioski, altany, angielskie ogrody i strzyżone szpalery, napotykać się dające w Królestwie przy szosach, wijących się jak białe wstęgi, wśród zielonych łąk i gajów; znikł ów ruch i zgiełk, cechujący kraje ożywione przemysłem i handlem, ale nie znikła staropolska gościnność i zacność w sercach wołyniaków. Niejednokrotnie i to w niedoli, otrzymałem dowody takowej. W Królestwie, trzeba rękę do piersi przyłożyć, aby posłyszyć, że serce bije — a mocno bije — na Wołyniu, serce jak na dłoni.

Przybyliśmy do Łucka.

Na najętej w drodze podwodzie, z powodu nóg popodbijanych marszem, do miasta sobie wjechałem najspokojniej, o niczem złem nie myśląc, gdy nagle ni z tego ni z owego, zjawia się jak z powietrza jakiś junkier, polak zmoskwicony, i jak szalony który się wyrwał ze szpitala warjatów, wytykając mię palcem: „Ja, gdybym był carem, to zamiast ich wozić, powywieszać bym kazał!“ wrzeszczy do przechodniów na całe gardło. Przechodniami tymi byli profesorowie i uczniowie z czerwonemi kołnierzami, wychodzący o południu ze szkół obwodowych. Powitali mię oni sympatycznym ukłonem, a jeden studencik malutki, czupurna sztuczka, odezwał się do napastnika: Nie dał Pan Bóg rogów, bo by bodła. Drugi zaś wyższy, dodał: Przecie to wieprzek, rodzaju mezkiego.

Po tej ulicznej scenie, zaprowadzono naszą partję na podzamcze i ustawiono szeregiem przed domem naczelnika. Rozkryliśmy tłomoczki i pisarz odbył ścisłą rewizję, wedle zwyczaju używanego powszechnie na etapach, aby się przekonać, czy kto utratą, przemienieniem jakiej rzeczy, nie przyniósł uszczerbku skarbowi.

Do Łucka nie miałem żadnej rekomendacji, ale za to podoficer dostał tego dnia pół rubla, aby mi służył za patrona.

Powiedział więc kapitanowi, że przez całą drogę, z woli naczelników, stawałem na kwaterach; że w niczem nie nadużyłem tego; a nawet byłem pożyteczny, jako „gramatnyj“ piśmienny, do apelu innych; nakoniec, że słuchy niosą z Brześcia, jakobym był generalskim synem.

Po tak korzystnem sprawozdaniu, powrócił do mnie i przywołał do kancelarji przed kapitana.

U rosjan czyn czyna poczytajet; to jest ich pewnikiem, zasadą życia społecznego, duchem towarzyskiej organizacji. Ponieważ na poprzednim etapie, naczelnik dał mi nieco wolności—choćby ta tylko była wyjednaną za worek grochu lub mąki od obywateli — ten więc szanując wolę sąsiada, by w razie i jego szanowano, także łaskawie dozwolił mi przemieszkiwać w izbie rzemieślników wojskowych; tam mię też zawiedziono, a innych do zwalisk zamku łuckiego, do murów którego przylepiono nowo zbudowane więzienie.

Po mieście rozszedł się tymczasem odgłos o moim w Łucku pobycie, i młodzież

zaczęła mię odwiedzać, znosząc tytoń turecki (kontrabandę żydowską), cygara z Rygi, i t. d., a co najważniejsza, udzielając wiadomości miejscowych, wychodząc na zwiady, jakie mi tylko potrzebne były. Junkier więc, ladaco, zamiast zaszkodzić w opinji publicznej, to mi jeszcze pomógł. Przyniesiono także kartę Kaukazu, na który poglądałem jak na klatkę, niemal zewsząd okrążoną redutami moskiewskiemi. Mówiono, że w miarę zbliżania się ku Kijowu, coraz mniej współczucia znajdywać będę; że w Kijowie zobaczę jeszcze, może, kilka dam patrjotek, a dalej, to tylko usłyszę słowo n i e s z c z a s t n y j z ust włościanina, lub ujrzę chłopca, wybiegającego za mną z chaty z kołaczem w ręku w darze i uciekającego napowrót.

Smutna perspektywa. Odskakiwać odemnie będą, jak od wyklętego, jak od Parji! S z y n i e l więc ma mię oddzielać od wszystkich istot ludzkich!

Wieczorem odebrałem wizytę pana Naruszewicza. W Łucku jest wielu tego nazwiska; są podobno dobrzy i źli Naruszewicze. Otóż przybywający zrobił mi miłą niespodziankę. Wydobywszy list: poznajesz pan tę rękę? — zapytał. List od matki! który mię do łez rozczulił; list czyniący nadzieję zwrotu mię z drogi, w skutek zrobionych w tej mierze kroków do Paszkiewicza; zachęcający, abym nie upadał na duchu, polecił się Opatrzności, słowem, kreślony ręką macierzyńską.

Wyszedłem na balkon; cicho było wszędzie; niebo szarym płaszczem się odziało; światełka w oknach dworków, rozrzuconych tu i owdzie po wzgórzach, migotały w oddaleniu, a fantastyczne ściany starego zamczyska, świadka dawnych dziejów, poważnie rysowały się na ciemnej kanwie nocy. Tylko tkliwe dźwięki fortepianu dochodziły, pędzone wiatrem, do mego ucha. Wtedy przyszła znowu na pamięć domowa zagroda i owa nadzieja matki, której wcale nie dzieliłem.

List jej zmartwił mię nawet pod pewnym względem, pomimo całej ogłędności. Nieznośną jest niepewność i wahanie się w ważnych chwilach życia. Rozważam więc, że jeżeli łudzić się będę jakąś wątłą nadzieją: bycia wyrwanym z kleszczy moskiewskich — odstąpię od raz powziętego zamiaru, stracę na czasie i miejscowości, pójdę głębiej do Rosji, a na pierwszej lepszej stacji noga mi się pośliźnie — bo czyż nie trzymałem się jak na lodzie? — nadzieją kajdanki, to już ich nie zrzucą aż na granicach azjatyckich, lub w jakim lazarecie. Wtenczas chyba powiem sobie: mądry polak po szkodzie; bo już będzie za późno.

Nie wierzę! ozwał się głos wewnętrzny przeczucia i z tym to głosem, powróciwszy do izby, padłem na łoże, które mi żony żołnierskie, panie sołdatowe, usłały.

Nazajutrz rano, już sam, bez żadnej asystencji, poszedłem do miasta, nie prosząc o pozwolenie nikogo. Kupiłem u żydów furażerkę cywilną i niektóre niezbędne drobiazgi; kazałem wysmarować buty, ażeby nie obcierały mi kostek; wyprać bieliznę; a trzeciego dnia z rana, nająwszy jeszcze podwodę by dobrze wypocząć, udałem się do zamku w celu połączenia się z gotowym do podróży etapem. Partja powiększoną została kilkunastoma żołnierzami, idącymi z wolnej nogi do innego pułku, pomiędzy którymi dostrzegłem jednego niebieskiego żandarma, także junkra prześladowcę.

Przechadzając się po wielkim dziedzińcu zamkowym, pamięcią w przeszłość biegłem. Ten Łuck, tak biedny, odarty i opuszczony dzisiaj, jakże świetnym i ożywionym być musiał stukiem kolas, karoc i rżeniem rumaków, w czasie uroczystego zjazdu Zygmunta z Witoldem! Te mury, w których niegdyś grzmiała huczna muzyka, dziś drzemiące pod całunem bluszczów i mchów odwiecznych, przypominały wyobraźni: jaśniejących złotem posłów i rycerstwo, pomiędzy któremi zdało mi się widzieć zamyśloną twarz Witolda nad losami Litwy.

Nic takiego smutku nie obudza, jak widok zwalisk, opuszczonych zamków i upadających świątyń w Polsce; owa kamienna historja, jakiej ręka czasu podkopać nie zdołała, szarpana twardym zębem wroga...

Przypominam sobie, że rząd proponował jednemu z mych krewnych, naddzierżawcy dóbr skarbowych Bodzentyna, aby wspaniały i malowniczy zamek fundacji biskupa Bodzanty, panujący dumnie z opoki, na której stoi, nad całą świętokrzyzką okolicą, rozebrał, a materjały staną się w nagrodę jego własnością. Ani myślał on zhańbić się podobnem świętokradztwem; nie chciał nagrody, ani pragnął sławy Herostrata.

Wróg patrzeć nie może na matkę polkę, opowiadającą zaczynającemu myśleć synowi. Barbarzyniec nienawidzi owych podań i legend pełnych poezji, w narodzie królów i kapłanów, jakie lud u nas przywięzuje niemal do wszystkich pomników starożytności.

Owe zaczarowane księżniczki, ukazujące się na wieżycach o północku, w pewne dni świąteczne; ów chrzest zbroi, szczęk oręża, wychodzący z podziemi, tentent koni z podwórców; dzwony, które nie przestają odzywać się jeszcze, choć zatopione w jeziorach; te wielkie prawdy ludowe, ciągłe nadzieje i oczekiwania, są dla tyrana upiorami i strzygami, które go we śnie kąsają.

Lęka się on, aby jakiś kamień, odrywający się z nienacka od baszty groźnego zamczyska, nie zgruchotał mu głowy!

## VII.

## U c i e c z k a.

„Chmury z drogi, wiatry z drogi!“

W małem miasteczku Młynowie, na ostatnim noclegu pod Dubnem, w dobrach Chodkiewiczów, w samym rynku, w karczmie u żyda, odbywa się biesiada.

Jest obchodzony dzień moich urodzin.

W pierwszej gościnnej izbie, żołdactwo podochocone i uperfumowane dziegciem, wyskakuje kozacze p r y s i u d y, towarzyszone hołupcami, przy kociej muzyce, złożonej z brzęku o trzech strunach b a ń d u r k i, ze świstów, bębenków i janczarek.

W alkierzu zaś, niebieski żandarm, junkier z galonkami na epoletach — obecnie już skaptowany, uniżony sługa — koroniarz w bluzie i jego anioł stróż inwalida, siedzą przy stoliku i ciągną d j a b e ł k a.

Ktoby się jednak wpatrzył w oblicze koroniarza, możeby dostrzegł, że od chwili do chwili rzuca on ukradkowo wzrokiem na zegar ścienny i że, choć ciałem pochylony nad kartami, myśl jego niespokojna błądzi gdzieindziej. Ba! dostrzegłby może, że nie bez celu nawet przegrywa, to do tego to do owego, już to kapciuszek misternej roboty, już fajkę piankową i t. d. jakby dla dogodzenia s z a n o w n y m współbiesiadnikom w swym dniu uroczystym.

Na drugim zaś stole, postawionym w kącie komnaty, skrzętna żydówka rozlewa herbatę, dolewając hojnie do trzech szklanek araku, gdy w czwartej, złoconej i większej od innych, podaje czystą herbatkę.

Już północ minęła, już rozmażone żołdactwo powynosiło się swym kosztem z szynku; gra jeszcze się przeciąga, a usłużna żydówka jeszcze raz obnosi kolejno szklanice.

Solenizant ostatni raz spojrzał na zegar; powstał wreszcie i — na wiwat i dobranoc, rumu zakomenderował.

„Zdrowie kolegów!“ i sam palnąwszy kielich, aż mu świeczki w oczach stanęły, podaje ochoczo następnemu.

Wiele ten czyni, co musi.

Potem, każdy rozlega się na tapczanie; dla inwalidy miejsca brakuje, junkier go więc wygania do pierwszej izby, potem światła gasną powoli, głucho się robi do koła. Pierwszy sen najtwardszy, po długiem czuwaniu, i para spirytusowa ogarnia mózgi; wszyscy zasypiają snem bohaterskim Bachusa, wyjąwszy jednego, który ciągle czuwa i rachuje tchnienia wszystkich, odróżniając senne od niesennych.

Doskonale! Dosyć tego udawania z wami plugawe istoty! bodajeście się przebudzili na Józefata dolinie!

Wstaję więc — jeszcze raz poglądam na rozciągniętych — i słyszę, jak szatani się z nich w piekle naśmiewają. Potem ubieram się po cichu, dobywam z mantelzaka woreczek z przygotowaną bielizną, rozpościeram siermięgę na sienniku i tak w podróż, w nocną wycieczkę wybrany, uchylam bez skrzypnięcia wypróbowane wprzód okno, a obtarłszy nogi z kurzu, daję pierwszy krok, na los szczęścia, na świat boży. Co będzie to będzie!

Swobodny jestem nakoniec siłą własnej woli. A teraz, cofać się nazad niepodobna— wszędzie mię znają po drodze — więc naprzód, puszczam się na Opatrzność! Naprzód ku Dubnu, gdzie następnego wieczora miała partja przybyć — tylko już bezemnie.

Szczęśliwie przebyłem miasteczko; minąłem szopę oplecioną sitowiem, gdzie etap z oddanymi w sołdaty spoczywał i niezadługo ujrzałem się na błotnistej grobli pomiędzy bagnami; i tę przebrnąłem — byle dalej!

Noc była chłodna i mglista; widzę jednak opodal przed sobą aleę, postępuję nią, mijam dworzec dziedziców Młynowa i wychodzę gdzieś w pola. Zgubiłem drogę i

zabłąkałem się zupełnie — a nie było chwili do stracenia.

Trudna rada; rozpatruję się, powracam, szukam i dopiero tuż przy dworze znajduję rozdzielający się z gęstego szpaleru gościniec, wysadzony rzędem młodocianych topól.

Napadłszy przecież na tropy, pośpieszam dalej, a słupy wiorstowe zdają się ustępować z drogi.

Aliści, słyszę zdala dzwonki od strony Dubna; ktoś jedzie i jak na złość zbliża się ku mnie. Nagle uderza mię przypuszczenie, że nuż też podróżnemu przyjdzie chęć zatrzymania się w karczmie, zkąd uciekłem, złe mogą ztąd wypaść następstwa, tem gorsze, że nieprzewidziane. Zakłopotany, nie mam co począć, jak zejść z drogi i położyć się w bruździe: tak też i czynię. Powózka mija, a ja niepostrzeżony pędzę dalej.

Aż tu za godzinę, ktoś znowu, lecz już za mną i bez dzwonków, jedzie; a więc to nie poczta — może coś gorszego; słucham, czy nie pogoń; ale nie; powózka powoli się toczy — szukam jednak na prędce punktu na obserwację; znalazłszy takowy za krzakiem, patrzę, czy nie będą się wychylać okrągłe czapki inwalidów? Sylwetka zwoszczyka w kapeluszu, jadącego przecież samotnie, rysuje sie tylko na tle powietrznem. Doganiam go zatem i proszę, aby mię wziął z sobą, obiecując dać na piwo. Przystaje; wskakuję więc na jego wózek. Wkrótce Morfeusz roztacza nad nim skrzydła, drzymie, kiwa się, ja zaś co tchu poganiam jasnokościste bucyfały — byle dalej.

Bachus i Morfeusz widocznie sprzyjali i dzięki im, postrzegłem Dubno, zanim świtać zaczęło. Budzę więc woźnicę, oddaję mu lejce, bicz i obiecany datek, a sam zeskakuję.

Teraz następuje zmiana rzeczy. Dubno jest to ostatni punkt południowy Wołynia, zkąd etapy posuwają się już, co krok, to na wschód, na wschód — a właśnie na wschód iść tak mi się nie chciało, bo tam im dalej tem gorzej. Wschód piękny na obrazku — sielanki Delila i Gesnera piękne na papierze — z tem wszystkiem, nie miałem ochoty przypatrywania się zbliska moskiewskim Filonom i Palmirom. Biorę się więc ku zachodowi, gościńcem prowadzącym do Radziwiłłowa, ostatniego miasta położonego nad suchą i do tego w lesie granicą galicyjską.

Już świtało; już kurkuryki kogucie, rozłożone na dyszkanty i basy, z pod strzech się odzywały; dymy z kominów, ognie w oknach i wychodzące na dwór staruszki, ukazywały się tu i owdzie.

A teraz, gdy zdawało się, że ślady do poszukiwania mię stracone, bo je nawet na błocie z początku zacierać nieomieszkałem, nająć konie wypadało; ale z drugiej strony, wałęsać się po wsiach z ostrzyżoną czupryną, było niepodobieństwem. Pewniejsza więc jazda na dwóch własnych wierzchowcach i daleko mniej kosztująca; nie ugrzęzną w kałuży koła ani resor się nie złamie, stangret nie klnie i szkapa nie dyszy.

Pod wpływem, czy bez wpływu, tej filozoficznej uwagi, zachęcając jak mogłem mych przyrodzonych wierzchowców, mijałem pola, sapy, strugi i sioła. W jednem siole nakoniec zaszedłem do karczmy, by się pożywić. Zastałem tam czeladkę patrzącą na mnie z ukosa, bo też w bluzie, na pół cywilno, na pół wojskowo, musiałem arlekinowato wyglądać; ale nikt jakoś o nic nie zapytał. Gdyby to było w Rosji, tam natychmiastby mię związano, dla kilku rubli nagrody rządowej, za dostawienie człowieka bez paszportu do zwierzchności. Tu przeciwnie, szynkarka nawet, sprzedając mi na prędce chleba i sera kawałek, dodała: „Idź pan! szczęść Boże.“

O ile wdzięcznym jej byłem za to życzenie-przestrogę, o tyle słowa: i d ź p a n, ubodły mię do żywego; utwierdziły bowiem w przekonaniu, że uchodząc jakby z pod pręgierza, nie otrząsnąwszy się jeszcze dostatecznie z piętna takowego, przebywam most, chwiejący się i ciernisty, wiszący nad przepaścią!

Idę więc, idę i idę, bo do Radziwiłłowa miałem siedm mil z ogonem; a tego samego wieczora jeszcze chciałem się dostać za granicę, zanim komenda inwalidna w Dubnie zawiadomioną o mojem zniknięciu zostanie i rzuci się w celu żerowania mię na wszystkie strony. Ale błota i deszcze jesienne niepokoiły bardzo — ujrzałem się w dzikich puszczach wołyńskich, gdzie za najmniejszym złowróżbnym szelestem, jak ptak płoszony, rzucałem się w gęstwinę. I tak przebywałem lasy, smugi i knieje, pytając o drogę jedynie tylko kobiet, zbierających grzyby, w przekonaniu że one, jeźli nie dopomogą, to nie zdradzą, a przynajmniej w podobnej okoliczności. — Byłem tak młody, wypieszczony synek mamuni! a którejże z czułych matek, widzących mię w nieszczęściu, nie przypomni się jej własne dziecię, myślałem.

I nie omyliłem się w rachubach. Bo oto, przeziębły, a pragnący posilić się czemś ciepłem, zachodzę w lesie do jednej karczmy. Zastaję tam samotną szynkarkę, która na powitanie: „Niech będzie pochwalony“ odpowiada po rusku, a rzuciwszy na mnie wzrokiem badawczym, podaje krzesło przed kominem, na którym roztliła wielkie ognisko; nie mieszkiem, jak to czynią paryżanki, broń Boże, ale kilkorazowem dmuchnięciem silnej wołynianki. Potem następują pytania: zkąd pan Bóg prowadzi? czy daleko? Snać to jakaś dwórka, bo grzeczna i gościnna, powiadam jej tedy otwarcie, że zdążam na granicę do Radziwiłłowa. Klasnęła tylko w ręce na tę nowinę, oznajmiając, że jej kmotr z końmi pocztowemi niezadługo tędy powracać będzie, to mię zabierze ze sobą. Tegoż mi tylko było potrzeba.

Choć głodny, jeść nie mogłem; a oczekując na kmotra, tak się czułem znużony i wycieńczony na siłach, że wstawszy z krzesła, zacząłem utykać po kątach, szukając miejsca, gdzieby przytulić głowę. Postrzegła to z politowaniem domyślna gosposia; przywała mię i otwierając drzwi do ciemnej komory: „Tam będzie spokojniej i wygodniej, na mojem łóżku“ — rzekła; gdy zaś wszedłem, drzwi za mną na klucz zamknęła i wyciągnęła go z zamku.

Zmięszał mię nieco z razu ten jej postępek, jednak wdrapałem się z pewnym rodzajem zobojętnienia na wszystko, co mię spotkać może, na kupę pierzyn i poduszek, i utonąłem w nich z zamróżonemi oczyma, pocąc się tylko gorączkowo, a zasnąć nie mogąc. Zdawało mi się, że łóżko obraca się ze mną; zdało mi się słyszeć po niejakim czasie dzwonki bryczki powracającego kmotra; słyszałem nawet jakieś szepty zamienione z przybyszem pod mojemi drzwiami; a sam, jakby z letargu, podnieść się nie byłem zdolny.

Ale nakoniec drzwi się otworzyły. Przeczuwałem jak patrzono na mnie i dosłyszałem wyraz: „n i e s z c z a s t n y j!“ wymówiony półgłosem przez gospodynię.

Czy ten fakt, ta scena rodzinna, nie może posłużyć za jeden dowód więcej, że rusin, chociaż zowie polaka l a c h e m, a rosjanina m o s k a l e m, skłania się przecież współczuciem ku pierwszemu?

Rusinka mię zamyka w swej sypialni; dla czego? bo wiedziała, że wróg krążył jak jastrząb około chałupy.

Otóż na jej słowo n i e s z c z a s t n y j, wstrząsnąłem się dopiero i powstałem, nabrawszy otuchy. Komu w drogę, temu czas! Nim jednak opuściłem miejsce przytułku, rusinka okryła mię swem futrem, które kmotr miał za powtórnym przejazdem zwrócić.

I ten ostatni czyn nie był bez podwójnego celu, gdyż zaledwie wychodzimy, aliści i tu postrzegam znienacka etap z dezertami, stojący tuż naprzeciwko karczmy pod szopą, chroniąc się od deszczu.

Spojrzeliśmy sobie oko w oko; wzdrygnąłem się na widok tego koczującego smętarza, lecz nie wiele myśląc, wskoczyłem w oka mgnieniu do bryczki, jednocześnie z izwoszczykiem. Ten krzyknął: H e j z g o r k i n a g o r k u, p a n y c z d a s t n a w o d k u! a posłuszna trójka uniosła nas cwałem, kawałami błota bryzgając. Trzymałem się poręczy obudwu rękoma, aby nie wypaść. Skoro konie biedz przestawały, woźnica znowu im przymawia po rusku — p o r u s k u a nie po rosyjsku; proszę nie mięszać jednego z drugiem: — Z a b y l i d i e t i — s o k o l i k i m o i! ukazując bat tylko, a one, jak na skinienie różczki magika, znowu puszczają się, parskając ogniście, gdy my toczymy się dalej.

Pocztylioni nie noszą w zabranych krajach, jako też w Rosji, botfortów i służbowych mundurów; nie zobaczysz tam malowanych bryczek, ani usłyszysz trąbki przygrywającej twym dumaniom. Tam izwoszczyk nie wychodzi ze szkoły pocztylionów, jak w Kongresówce; prosty jak natura, często obdarty, nie zna tego wszystkiego, nie przywykły do formalności, ale za to pędzi z kopyta.

Ani postrzegłem, kiedy dojeżdżaliśmy do Radziwiłłowa.

Izwoszczyk zapytał, czy chcę wjechać do miasta, lub też zatrzymać się w ostatniej karczmie przed miastem.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Julian Piotrowski. Z drukarni K. Pillera.

# DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE.

Dodatek do Nr. 11.

**Kroniczka.** Ochłonęliśmy, nareszcie, z walki wyborczej; mamy nowego posła do Rady Państwa i nowego prezydenta sławetnego miasta Lwowa, który zawsze przedstawicieli swoich rodzić musi w okropnych boleściach...

Panowie Romanowicz i Zacharjewicz obnoszeni po ulicach na drągach przez swoich przyjaciół i nieprzyjaciół, mogą spocząć na laurach, pierwszy dlatego, że mało mu brakowało, aby był wybrany, drugi dlatego, że mało brakowało, aby nie był wybrany — obydwa zaś, gdyby nie byli wybrani, nie zrobiłaby się z tego powodu dziura w parlamencie austrjackim... Co zaś do naszego prezydenta, to p. Dąbrowski, który objął tę godność obywatelską, nie mając istotnego przeciw-kandydata, został ojcem miasta z nierównie większą łatwością, aniżeli zwykły człowiek zostaje ojcem w potocznych okolicznościach szarego życia...

---

Po długim, choć zwykłym sześciotygodniowym poście, odezwały się jeszcze echa zbyt krótkiego tegorocznego karnawału... Kółko prawników wyprawiło sobie w sali *Frohsin* raut z amatorskim teatrem, z tańcami i, co najważniejsza, z kolacją... Nie mamy zwyczaju pisać sprawozdań z amatorskich przedstawień, w których, zawsze dobre chęci trzeba brać za uczynek i nie godzi się sprawiać rzezi w pośród niewiniątek, ale ponieważ „Kurjer lwowski" na tym raucie prawników, odkrył brylant, który należałoby tylko „oszlifować", więc fenomen taki zapisać wypada na szpaltach niniejszej kroniczki, a chociaż wiadomość to nieco spóźniona, gdy jednak idzie o brylant, choć nieoszlifowany, warto mu poświęcić słów kilka... O ile jednak wiemy, p. Marynowski niema bynajmniej zamiaru poddać się operacji „szlifowania", chociażby czynności tej podjęły się gratis zręczne ręce recenzenta „Kurjera lwowskiego"...

---

Tymczasem, gdy amatorów teatralnych lwowski dziennikarz chce „oszlifowywać", w prawdziwym przybytku Melpomeny przy ulicy Skarbka, zaczynają kwitnąć róże, po których dyrekcja stąpa i... pakuje banknoty do pugilaresu... Powodzenie dyrektora, udzieliło się jego współpracownikom: kasjer, sekretarz, a nawet p. Pieniążek, który, jak wiadomo, z wysokiego stanowiska zapatruje się na scenę, chodzą z tym uśmiechem zadowolenia na ustach, który wyraźnie zdaje się mówić: „nie chce mi się jeść, a jak mi się zachce, to będę jadł"... Panowie Żelazowski i Wojdałowicz, którzy przedsięwziąwszy wyprawę do Lwowa, leżeli krzyżem przez całą mszę w kościele Panny Marji w Krakowie, aby sobie uprosić łaskę i pomoc bożą wśród wojowniczego plemienia dziennikarzy lwowskich — przekonawszy się, że aktorów z talentem nad Pełtwią nie zjadają, zakorkowawszy łzy krakowian w osobne buteleczki i odesławszy je do krakowskiego muzeum, zaniechali chodzenia z rewolwerami po ulicach Lwowa...

---

Komitet spółki teatralnej w Poznaniu ogłosił w „Dzienniku Poznańskim" sprawozdanie, z którego się dowiadujemy, że pan Podwyszyński, jakkolwiek jest dobry aktor, będąc dyrektorem teatru poznańskiego w ósmym, czy siódmym miesiącu tej godności... „puścił artystów w trąbę,"zaprzestając im płacić gaży... Sprawozdanie powiada, że pan Podwyszyński okazał zupełny brak zmysłu administracyjnego... Upadek teatru poznańskiego pod dyrekcją p. Podwyszyńskiego nie zadziwił nas, bo gdy go objął p. P., to taki koniec był nieunikniony... Łatwiej to słuchać, aniżeli rządzić — p. Podwyszyński jednak nie chce pierwszego, a nie umie drugiego...

---

Na tem miejscu do świetnego magistratu we Lwowie zanosimy w imieniu wielu prośbę: w domu na krakowskiej ulicy, gdzie się mieści kawiarnia, zwana bardzo słusznie. *piekiełkiem*, na podwórzu i w pewnych ubikacjach taki panuje nieporządek i takie straszne z tego powodu napełniają powietrze wyziewy, że istotnie obawiać się należy, aby przy cieplejszej obecnie porze jakaś epidemiczna choroba tam nie wybuchła. W samej kawiarni trzeba nos zatykać, bo odór z kuchni urządzonej na sposób praktykowany za czasów, gdy Kulczycki ze zdobytej kawy na turkach pierwszą kawiarnię założył, kuchni mającej może łokieć szerokości, a znajdującej się tuż za bufetem, w bratnim uścisku z wyziewami z podwórza, igra z nosami gości... Nie darmo też opinja publiczna nazwała tę kawiarnię *piekiełkiem*... Czyby świetny magistrat nie raczył zarządzić odpowiedniej, ale starannej rewizji, zwłaszcza, że w tym samym domu znajduje się *tania kuchnia*, do której mnóstwo przychodzi ludzi...

---

## TEATR.

Nareszcie zawitała i do nas *Fedora*, której pierwsze przedstawienie na lwowskiej scenie odbyło się dnia 13. kwietnia.

Jak prawdziwy mistrz nowoczesnych dzieł scenicznych, które pomimo interesujących zalet, nie doczekają jednak XX. wieku, dotyka Sardou w „Fedorze" najdelikatniejszych strun uczucia ludzkiego, gra na nich ze swobodą prawdziwego artysty i przeprowadza aż do szalonych wybuchów rozpaczy i nienawiści. Djalog potoczysty, powiązany ściśle z przewodnią myślą fabuły dramatu, snuje się bez przerwy przez całe cztery akta, gubiąc się często w niepotrzebnych epizodach scenicznych. Cała akcja spoczywa tu w rękach dwóch osób: Fedory i Lorysa, reszta to komparsy, bierne czynniki, wyświecające tę, lub ową sytuację.

Mimo wszystkich zalet przebija się w charakterystyce osób brak znajomości społeczeństwa rosyjskiego, które w „Fedorze" wprowadza Sardou na scenę — jedna może hrabina Sucharew, epizodyczna postać w dramacie, odrysowana jest wiernie, jako interesujący, a pod względem psychologicznym i obyczajowym powikłany charakter kobiety z arystokracji rosyjskiej, niepodobnej do żadnej innej arystokracji na świecie.

Fedora, która z całą samowiedzą i żądzą zemsty nad mordercą ubóstwianego kochanka przykuwa się do Lorysa i wszelkimi sposobami stara się rozdmuchać w jego sercu miłość dla siebie, aby przy jej pomocy wydobyć przyznanie się do czynu, a potem poświęcić go swej zemście — w chwili, gdy tylko jeden krok ją dzieli od wykonania tak długo przygotowanego planu... uczuwa miłość do przedmiotu swej zemsty... Zwalczona, nareszcie, wyrzutami sumienia, gdyż się przekonała, że Lorys jest niewinny, odepchnięta przez nowego kochanka... truje się... Widzimy tedy, że dramat „Fedora" nosi na sobie wszystkie cechy utworów sensacyjnych, obliczonych na wstrząsanie nerwami... Forma ładna, ale sytuacje skomplikowane i wyśrubowane do anormalnych objawów, są dowodem, że autorowi o nic więcej nie chodziło tylko o... nerwy... „Fedora", jak wiadomo, pisana jest umyślnie dla Sary Bernhard — to też, jak wyżej wspomnieliśmy, oprócz Lorysa, stosunkowo do Fedory, także za pobieżnie traktowanego, wszystkie postacie nic nie dowodzą, nic nie działają i tylko są biernymi *robotnikami* rozwijającej się akcji...

Już sam ciężar dźwigania przez cztery akta całej akcji, rzucony na barki dwóch osób,

nie małe przedstawia trudności, a o ileż trudniejszem jeszcze staje się to zadanie, jeżeli uwzględnimy wszystkie fazy najrozmaitszych uczuć krzyżujących się co chwila, owe gwałtowne przejścia, w niektórych miejscach nie bardzo konsekwentnie i należycie przez autora motywowane...

Pani Nowakowska wyszła obronną ręką z roli Fedory i w ogólnych rysach prawidłowo przedstawiła charakter tej kobiety — w szczegółach widać było niektóre braki; w scenie n. p. drugiego aktu z panem de Siriex, gdzie postanawia zgubę Lorysa za mało uwydatniła artystka grozę tej stanowczej chwili, w głosie jej nie było czuć strasznej nienawiści graniczącej z żądzą okrucieństwa. W ogóle, o ile sceny uczuciowe w grze pani Nowakowskiej wyszły dobrze, podkładane delikatnym kolorem miękkości kobiecej, o tyle w scenach gwałtownych za mało miała pani Nowakowska siły, która kruszy wszelkie niepodobieństwa...

Z panem Żelazowskim w roli Lorysa godzimy się najzupełniej, co do pojęcia tej postaci. Człowiek ten, na którego tyle nieszczęść zwaliło się najniezasłużeniej, nie mógł być miękkim i uczuciowym nawet w scenach czysto lirycznych. Twarda szkoła życia straszne przejścia, które jak gromy uderzały w to męskie serce, zdolne były okuć je żelaznym pancerzem zobojętnienia na wszelkie objawy miłości i przyjaźni — pewna szorstkość w obejściu, zwięzłość w objawianiu swych myśli, te nieodzowne następstwa gwałtownych przejść natury ludzkiej, o męskim charakterze—ale i obumarłe dusze uderzają silniej, gdy niewieścia ręka w popiołach zranionego serca pocznie szukać tlejącej jeszcze na dnie iskry... Opowiadanie Lorysa o szczegółach niewiary jego żony, odmalowanie tej strasznej chwili, w której ją schwytał na gorącym uczynku i zabijając uwodziciela, pomścił krzywdę honoru i własne szczęście złamane, oddał p. Żelazowski z naturalną dykcją, w której jednakże zachował cały charaktor traicznej grozy — ten sposób opowiadania p. Ż., wydał nam się najzupełniej zgodnym z naturą postaci przez artystę przedstawianej. Pan Żelazowski złożył dowody niepospolitego talentu. Scena końcowa 3. aktu oddana została przez artystę z taką prawdą i taką siłą, że porwał za sobą słuchaczy. Twierdzimy też obecnie stanowczo, że scena lwowska w osobie p. Żelazowskiego pozyskała dzielną siłę i, że każda scena chlubić się może takim artystą...

Na wzmiankę zasługują p. Lubicz w roli sekretarza de Sirex, p. Ruszkowski w roli kamerdynera francuza i panna Sułkowska w roli hrabiny Sucharew, którą odegrała z pociągającym wdziękiem nie tyle może w gruncie zepsutą, ile rozkapryszoną i znudzoną kobietę... Toalety pań były pyszne.

Gra innych artystów w rolach małych i nic nie znaczących w sztuce, przyczyniła się do harmonijnej całości. Inscenerja i w ogóle wystawa „Fedory“ świadczyły o starannem traktowaniu sztuki przez dyrekcję i reżyserję.

---

*Przedwyborcze zgromadzenie* pana Adolfa Abrahamowicza, które po raz pierwszy odbyło swoje posiedzenie na scenie lwowskiej d. 16. b. m. zawiodło poniekąd oczekiwania nasze i nie nasze.. Za wiele tam było zgromadzenia, a za mało żywiołu scenicznego. Podobna rzecz skrócona i organicznie powiązana, mogłaby w większej komedji dosadnie odmalować tło, na którem występują działające charaktery, ale użyta, jako treść do jednoaktówki, jest materjałem zbyt ubogim, aby z niego mogła być jaka taka całość... Niekoniecznie też robi wesołe wrażenie, ośmieszanie obywatelskiego życia na terenie narodowej autonomji...

Ze wszystkich osób, których w tej komedji występuje bardzo wiele, jeden tylko p. Fiszer miał rolę wydatniejszą, którą też ożywił tchnieniem prawdziwego talentu — inni dopełniali harmonijnie całości, ale ou il n'y a rien le roi perd ses droits — więc zaledwie wymienić należy panie: Aszpergerową, Knapczyńską i Junosza, oraz panów: Kwiecińskiego, Zamojskiego, Lubicza, Ruszkowskiego, Walewskiego i innych, pomiędzy którymi pan Szobert zwracał uwagę doskonałą mimiką i charakteryzacją.

---

**Koncerta** głośnego skrzypka Sauret'a, odbyły się w teatrze skarbkowskim w sali zapełnionej szczelnie publicznością, która francuskiego artystę za pyszną, miękką, pieszczotliwą i brawurową grę wynagradzała franetycznymi oklaskami. Pan Sauret należy, istotnie, do nielicznej plejady najznakomitszych skrzypków.

Poniżej zamieszczamy jeszcze wzmiankę z powodu koncertów tego artysty.

---

*Kukułki* komedja w 4ch aktach Kneisla z niemieckiego tłomaczona, ujrzała u nas światło dzienne po raz pierwszy dnia 17. kwietnia. Jest to, jak zwykle komedja niemiecka, dość poczciwa, ale nudna, jak flaki z olejem. Przetłumaczył ją p. Pieniążek — trzeba mieć, albo dużo czasu do tracenia, albo nurtującego robaka literackiego gdzieś pod sercem, aby mieć ochotę do tłomaczenia takich komedyj... Ale stało się, panu Pieniążkowi „Kukułki“ nie przyniosły listka literackiego wawrzynu, za to biblioteka teatralna otrzyma... parę funtów makulatury... Główne role spoczywały na barkach panów: Kwiecińskiego, Zboińskiego i pani Kwiecińskiej — więc ma się rozumieć, wydobyte zostało z ról wszystko, co tylko było do wydobycia, a pani Kwiecińska w niektórych scenach zachwyciła nawet ziewającą już publiczność P. Wojdałowicz doskonale ucharakteryzowany z zacięciem naturalnego komizmu, począł odgrywać wynalazcę, czy fabrykanta uniwersalnych pigułek — cóż, kiedy postać epizodyczna, ukazała się w pierwszym akcie i znikła niepowrotnie. P. Fiszer w „Kukułkach“ był tak potrzebny, jak dziura w moście — mógłby bezpiecznie grać tę dziurę szanowny tłumacz „Kukułek“.

Mała uwaga. Gdy p. Kwieciński w pewnej scenie przedstawiając się baronowej, powiedział, że jest: *homme de lettre*, z niektórych lóż parterowych po lewej stronie dał się słyszeć przytłumiony śmiech i uwagi, w każdym razie za głośne, że podobnego wyrażenia nie zna język francuski... Otóż, pouczyć musimy, że literat po francusku nazywa się rzeczywiście *homme de lettre* i, że w pierwszym lepszym paszporcie, zajęcie literackie określone jest taką nazwą. Dowodzi to niestety, że można nie źle mówić po francusku, ale co dotyczy nauki, literatury i sztuki, wiele się nie wie tak samo po polsku, jak po francusku...

---

*Pan i Pani* nowalijka francuska przy koncercie p. Sauret'a w środę odegraną została. Dowcipne to, lekkie i puste... jak bańka mydlana, ale bańka lśniąca się kolorami i światłem... Pani Żelazowska i p. Żelazowski ze swobodą, dystynkcją, humorem i werwą artystyczną, odegrali ten rodzajowy obrazek sceniczny.

---

*Do krótkiego sprawozdania z koncertów p. Sauret'a,* dodać musimy, że skrzypce francuskiego wirtuoza w wydawaniu tonu, nie dorównywają wielkiemu talentowi artysty — nie jest to instrument doskonałej konstrukcji— więc tam, gdzie od siły tonu, jak np. w polonezie, zawisło głębsze, lub mniejsze wrażenie, skrzypce stają na przeszkodzie. W każdym razie, nawet pod względem brawury i siły, na tych skrzypcach, jakie posiada Sauret, jest pierwszym skrzypkiem po ognistym hiszpanie Sarasecie.

---

# PRZEKLEŃSTWO.

## POWIEŚĆ

(z angielskiego.)

*(Ciąg dalszy.)*

Patrzyła na niego z niemym podziwem.

— Nie przypuszczałam nigdy — wyrzekła spokojnie — aby misja jakakolwiek przypadła mi w udziale. O cóż to chodzi ojcze?

— O największe, najświętsze zadanie, jakie kiedykolwiek kobieta podjąć mogła. Jak wiesz, Leo, pracowałem, uczyłem, poświęcając życie całe jednej wielkiej idei. Dla sprawy ludu wyrzekłem się wszystkiego, wszelkich moich nadziei, wszelkiej ambicji. Służyłem jej wiecznie, poświęcałem całe istnienie, żyłem dla niej jedynie. Lecz teraz wyczerpany, jak starzy prorocy, palmę mą w twoje składam dłonie.

— Nie rozumiem, ojcze, czego żądasz odemnie — wyrzekła spokojnie.

— Zaraz ci wytłómaczę — odparł. — Oto masz zająć moje miejsce; ponieważ zaś ja nie mogę już uczyć i przewodniczyć dłużej, ty musisz to czynić za mnie. Jesteś młoda, piękna i utalentowana; posiadasz czysty, donośny, metaliczny głos, który dźwiękiem swym samym trafi od razu do serca słuchaczy. Opatrzność dała spojrzeniu twemu ogień, słowom zapał, podsycany przez świetną wyobraźnię, posiadasz też wszystkie potrzebne przymioty; kobieta zaś agitatorka, kobieta mówczyni będzie nowością, jakiej niewidziano dotąd.

— Więc chcesz, ojcze, abym czem była? — zapytała zwolna.

— Przewodniczką i nauczycielką ludu, jego mistrzynią! — odparł z przesadą.

— A jakże ja mogę uczyć, kiedy sama nic nie umiem? — podjęła z poważną prostotą.

— Przeciwnie, wiedza twoja dość jest rozległą; w razie gdyby nie wystarczyła, ja ją uzupełnię — zapewnił Ray z naciskiem — ty zaś, Leo, będziesz rozszerzała moje zasady, prowadziła dalej moje nauki. Staniesz się dla świata tłómaczem moich myśli i moich idei. Pragnę, aby one żyły po mojej śmierci, imię moje trwałą otaczając sławą.

— Ależ, ojcze — przerwala poważnie — jeżeli ty spędziłeś, jak mówisz, życie całe na szerzeniu twych wierzeń i, jeżeli z swym rozumem, wpływem i nauką nie doznawałeś powodzenia, to cóż mogę zrobić ja, młode i niedoświadczone dziewczę?

Przerwał jej żywym ruchem.

— Mylisz się, ja w części dokonałem przedsięwziętego dzieła. Życie jednak ludzkie za krótkie jest, aby mogło podobną uskutecznić pracę; dla tego też musisz ją prowadzić za mnie dalej. Wdzięk i piękność kobiety, stojącej na trybunie, dokonają więcej jeszcze, niż sława i zręczność mężczyzny. Leo! staraj się ocenić i zrozumieć wielkość misji, którą ci powierzam. Gdybym, zawoławszy cię tu dzisiaj, oznajmił, iż wszystkie ludy świata, złączone w jednem pragnieniu, obierają cię swoją królową, olśniona, odurzona radością, nie wiedziałabyś zapewne, jak ująć takie berło. Pomyśl teraz, iż apostolstwo, które ja ci daję, wkłada na głowę twą stokroć świetniejszą i świętszą koronę, niż ta, którąby ci narody całej kuli ziemskiej oddać mogły.

— Pod jakim względem? — zapytała.

— Masz, bowiem uczyć, lud, przewodniczyć tłumom, wybijającym się na wolność i swobodę.

— Jakże, ojcze, ja, nieświadoma dziewczyna, mogę uczyć lud? — pytała nieśmiało. Sądzę, iż dojrzali mężczyźni i siwowłosi starcy za mało mieliby cierpliwości do słuchania nieudolnych słów moich.

— Jeżeli się wpierw nauczysz, co masz mówić, uwierzą ci na ślepo - zapewniał Ray. Gdybyś się ukazała przed nimi, jako proste, niedoświadczone, naiwne dziewczę, wtedy zapewne niewiele pozyskałabyś zaufania, musisz też stanąć przed światem, jako wybrana przez Ray'a istota, jako posłanniczka niebios, otwierająca przed ludźmi błogosławioną skarbnicę równości i swobody.

— Ależ Pan Bóg wcale mnie nie wybierał — przerwała z przestrachem.

— Przeciwnie, wybrał cię i namaścił przezemnie! Musisz też słuchać głosu niebios, który ja ci powtarzam. Staniesz przed światem, jako kobieta zesłana do nauczania go, kobieta, której piękność i wzrok po to zostały dane, aby niemi tem silniej serca ludzkie poruszać mogła, kobieta, oddająca własnowolnie życie swe dla dobra uciśnionych społeczeństw; kobieta, przyodziana w eteryczne godła, najwytworniejszych odcieni, pełna poezji i wymowy, przedstawiająca wcielenie *ducha wolności*.

Zapał jego udzielił się dziewczęciu i zabłysł jasnym w rysach jej płomieniem.

— I sądzisz, ojcze, że jabym to wszystko mogła uczynić? — zapytała.

— Ja nie sądzę, ja jestem pewny tego! Czyż Joanna d'Arc, równie słaba i delikatna, jak ty, dziewczyna, nie powiodła licznych wojsk ku zwycięztwu?

— Bo niebo powołało ją do tego — przerwała Lea z pokorą.

— Niebo i ciebie powołuje — odparł uroczyście. Dziewica uratowała francuską koronę, w dawnych czasach Judyta ocaliła swoją ojczyznę, Estera swój naród. Widać tajemne wyroki przeznaczeń dają zawsze od czasu do czasu kobiecie moc zachowania wielkich ludów od zaguby. Ty, córko moja, należysz do liczby tych istot wybranych!

Lea pobladła i zadrżała pod brzemieniem słów jego. Ray ujął rączki jej w swe dłonie i patrzył na nią z miłością. Jeżeli był on sam udanym i fałszywym entuzjastą, to wiedział jednak, że nic tak nie zapewnia powodzenia nad silne wewnętrzne przekonanie i dla tego chciał w niej obudzić takowe.

— Za małe to ręce do trzymania wielkiego, gorżko bijącego i zakrwawionego serca ludzkości, za małe do błagania, groźby i uderzeń, a jednak musisz je uczynić dość silnemi Leo. Pamiętaj, iż duch wielkich kobiet-bohaterek unosi się nad tobą. Judyta umiała drobnemi dłońmi uciąć głowę Holofernesowi; bądź współczesną Judytą i zetnij hydrę rojalizmu i monarchji!

Słowa te zepsuły wrażenie poprzednich, blade i drżące dziewczę cofnęło się ze wstrętem.

— Ja nie mogę i nie chcę zabijać — wyszeptała.

On nie słyszał jej wszakże. Zapatrzony w urocze, cudowne rysy, ważył w myśli wpływ, jaki tak doskonała piękność będzie wywierała na ludzi.

— Leo — wyrzekł zwolna — ty mnie prześcigniesz, zaćmisz nawet i wkrótce zbierzesz wielki majątek.

Niezręczne to powodzenie rozwiało zupełnie urok wszystkich jego poprzednich wywodów. Piękna twarz kobiety pokryła się płomiennym rumieńcem oburzenia.

— Co! mam zbierać, ojcze? Majątek? Wszak miałeś, ojcze, oddawać wszystko ludowi, a nie brać od niego?

— Ma się rozumieć — odparł szybko. Pamiętaj jednak, że na urządzenie tak wielkich ruchów jak te, które my w czyn wprowadzamy, na zawiązanie komitetów i organizacji potrzeba znacznych funduszów; nic, bowiem, na tym zdemoralizowanym świecie bez pieniędzy uczynić nie zdołamy. Jedynym też sposobem zdobycia ich, są właśnie takie mowy i odczyty, o jakich ci mówiłem, Leo. Mają one podwójny cel, przynoszą podwójną korzyść: raz, dostarczają środków do prowadzenia dalszej wojny, następnie zaś, oświecając i ucząc lud, szczepią wśród niego podniosłe nasze zasady.

Twarzyczka dziewczęcia posmutniała— blask zapału przygasł w lśniących jej źrenicach.

— Wolałabym odnaleść inny sposób zarabiania pieniędzy — odrzekła.

Spostrzegłszy niezręczność swą, Marcin Ray pośpieszył ją naprawić.

— Uprzedzam cię Leo, iż korzyść materjalna najmniejszą gra tu rolę; sama się łatwo o tem przekonasz. Prawda, iż potrzeba nam koniecznie zdobywać fundusze, niemniej jednak nauczanie ludu głównym jest celem.

— Powiedz mi ojcze, jakie zasady trzeba rozwijać, co wpajać w słuchaczy?

— Przedewszystkiem nienawiść dla wszelkich istniejących urządzeń politycznych i społecznych. Trzeba szczepić w sercach ich nienawiść do tronu, do dynastji, do arystokracji i szlachty! nienawiść do władzy, do prawodawstwa, jednem słowem do wszelkich odcieni i form rządu z wyjątkiem tego, który z czasem w ich własnych spocznie dłoniach. Muszą pojąć i zrozumieć, iż bogactwa pięknej naszej ziemi nie były po to stworzone, aby je kilku wybranych w wyłączne swe zagarnęło posiadanie. Trzeba im wytłomaczyć, wpoić w duszę, jak potworną jest niesprawiedliwością, aby jeden człowiek posiadał żyźne ziemie, cenne lasy, wody, góry i niezliczone kopalne bogactwa, kryjące się w ich łonie, aby zadawalał swe wszystkie zbytkowne zachcianki, podczas, gdy inni umierają z głodu, lub męczą się dla zaspokojenia najpierwszych potrzeb. Trzeba ich uczyć, Leo, iż żaden człowiek na świecie nie ma prawa rozszerzać niewoli, więzić, męczyć i zabijać, okuwać przemocą karki swych bliźnich w straszne jarzmo tyrana, bo ziemia została stworzoną dla ludzi, a nie dla królów i ucisku.

— Ależ — przerwała — zapominasz, iż naród musi być kierowanym i rządzonym. Gdy zaś raz konieczność ta jest nieunikniona, sądzę, iż na jedno to wyjdzie, czy na czele jego stanie ktoś, co się zwie królem, lub taki, jak ty ojcze, demagog. Nie znam się na tem, to też sąd mój mało jest znaczącym — niemniej trudno mi się oprzeć myśli, iż, gdyby potężny prąd rewolucji zniósł wszelkie zapory nierówności i klasy między ludźmi — musiałyby one same przez się powstać wkrótce na nowo. Leży to już w naturze naszej i w ustroju wszechświata. Wszyscy nie mogą być równi: praca musi prześcignąć próżniactwo, geniusz wybić się po nad ograniczenie, rozum zapanować nad ciemnotą i glupstwem. Wtedy mogłaby tylko istnieć nadzieja bezwględnej równości, gdybyście zdołali urobić wpierw na jedną modłę: serca, umysły i charaktery całej ludzkości.

Marcin Ray patrzył gniewnie na córkę.

— Czy wiesz! — zawołał — że dowodzenia twoje wyjęte są z ust mych nieprzyjaciół. Kto cię nauczył tego wszystkiego?

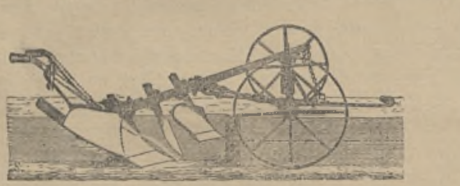
— Kto? Nikt ojcze — odparła spokojnie. Nikt nie mówił ze mną o rzeczach podobnych, wygłaszam też jedynie własne przekonania mówię to, co myślę.

*(Ciąg dalszy nastąpi.)*

## Świeże nasiona

Jarzyn, Kwiatów, Traw, Lucerny francuskiej, olbrzymich Buraków, Marchwi pastewnej i wszelkie Nasiona gospodarskie
poleca
z ostatnich zbiorów pewne w kiełkowaniu

**Główny skład nasion**
**TEOFILA ŁUCKIEGO**
we Lwowie,
plac Halicki l. 15., w gmachu Banku hipotecznego
**Cennik odsela na żądanie franco.**



## Glayton & Shuttleworth

we Lwowie, przy ulicy Gródeckiej l. 22.
dostarczają po znacznie zniżonych cenach oryginalnych
**R. Sack'a**
**uniwersalne pługi stalowe oryginalne,**
**R. Sack'a**
**Siewniki rzędowe**
i polecają swój obficie zaopatrzony
**skład w maszyny i narzędzia rolnicze**
własnego wyrobu.
(2—4)

Illustrowane cenniki franco i gratis.

## KANTOR WYMIANY

c. k. uprz. galic. akcyjnego
**BANKU HIPOTECZNEGO**
kupuje i sprzedaje
***wszystkie efekta i monety***
pod warunkami najprzystępniejszymi
**5% Listy Hipoteczne**
jako też
**5% premjowane Listy Hipoteczne**
które według prawa z dnia 1go Lipca 1868 (Dz. p. P. 30 Nr. 93). i najwyższego postanowienia z dnia 17go Grudnia 1871 mogą być użyte do lokowania kapitałów funduszowych pupilarnych kaucyj małżeńskich wojskowych, na kaucje i wadja,
*są w tymże Kantorze do nabycia*
Losy węgierskie czerwonego krzyża po **6** złr. **30** ct.
Wszystkie polecenia z prowincji wykonują się bezzwłocznie po kursie dziennym bez doliczenia prowizji. (1—5)

**Tadeusz dr. Szydłowski**
KONCEPIENT,
w biurze mecenasa dr. Krzyżanowskiego, (ul. Jagiellońska 5.)
**wpisany został**
reskryptem c. k. wyższego Sądu kraj. z d. 28 marca 1883 l. 7484
na listę
**obrońców w sprawach karnych**
Mieszka przy ul. Sykstuskiej l. 36. I. piętro
(3122-3-1)

**Kantor wymiany**
**Jakóba Stroh**
*we Lwowie ul. Hetmańska l. 6.*
kupuje i sprzedaje wszystkie efekta pod warunkami najprzystępniejszymi.
Wykonuje wszystkie polecenia szczególnie z prowincji, bezzwłocznie jaknajkorzystniej dla P. T. interesantów, powołując się przytem na długoletnie zaszczycające zaufanie szanownej publiczności. (3119-2-1)

**SARA EINFELD**
dawniej Moden Einfeld
*we Lwowie, ulica Halicka Nr. 7.*
SKŁAD SUKNA
i gotowych ubiorów męzkich i dziecinnych. (3125-5-1)

Główny skład
**Nasion i Roslin**
**J. STACHIEWICZA**
*we Lwowie, plac Marjacki l. 11.*
poleca
całkiem świeżego zbioru Nasiona jarzyn, kwiatów, buraków i traw pastewnych, koniczyny, lucernę oryginalną francuzką oraz drzewa owocowe, róże, krzewy do ozdoby parków, szparagi itp.
Posełki na prowincję uskuteczniają się odwrotną pocztą.
Główny *Cennik nasion* na rok 1883 na żądanie franco.

HANDEL
**KAROLA BAŁŁABANA**
we Lwowie,
uskutecznia łaskawe zamówienia bezzwłocznie. Przy zamówieniu towarów za gotówkę, lub zaliczkę w kwocie 50 zł. naraz, nie liczy opakowania, odstawia takowe koleją franco do ostatniej stacji.

**Herbaty chińsko-rosyjskie**
ze zbioru 1882/83.

| | |
|---|---|
| Pół kilo Congo cesarskiej | 2·20 |
| „ Familijnej | 3·20 |
| „ Melang de Moskau | 4·20 |
| „ Imperial | 5·20 |
| „ Wysiewki najlepszych herbat | 1·00 |

Łyżeczka od kawy niekopna powyżej wymienionej herbaty, przy dobrze kipiącej wodzie li do tego używanego samowara, daje dwie szklanki doskonałej herbaty. Samowar nie powinien być we środku szorowany, ponieważ woda osadza wapno, które przez szorowanie poruszone mąci wodę, że dopiero w dziesiątym razie czysta i nie mętna wychodzi. (3120-1-2)

**Jabłoński**
*we Lwowie, ul. Syxtuska l. 19*
poleca
**swój skład i pracownię powozów**
wózków węgier., fajtałów itp.
wszelkie zamówienia uskutecznia szybko i sumiennie, oraz przyjmuje wszelkie reperacje w zakres powoźniczy wchodzące po miernej cenie. (3103—3—1).

Medyc., Chirurg. Akuszer. etc.
**Dr. J. K. WIKTOR**
osiadł we Lwowie
i mieszka przy ulicy Pańskiej l. 17.
*Ordynuje od 12 do 2 i od 4 do 6.*
Ubogim chorym udziela rady bezpłatnie od godz 7 do 8 rano.

**L. SCHALL**
**krawiec damski**
we Lwowie, ulica Ormiańska Nr. 25. na I. piątrze. (3121-4-1)

**A. H. ZIPPER**
*w Rynku l. 36.*
uwiadamia, iż zaprowadził u siebie platerowanie srebrem wszystkie metale na sposób warszawski i ręczy, że powyższe platerowanie srebrem, jest tak trwałe, jak nowe — a zatem przyjmuje wszystkie naczynia stołowe i posrebrza w bardzo krótkim czasie po najtańszej cenie — przytem poleca swój upiększony i powiększony *magazgn jubilerski*, w którym ma same modne i tanie towary.— Zamówienia uskutecznia szybko i najsumienniej. (3137-4-1)

ZAWIADOMIENIE.

Z dniem 24go Marca 1883 roku
**J. KOLIJEWICZA**
**Pracownia rusznikarska**
przeniesioną została
z domu pod l. 21. przy ul. Halickiej, do kamienicy JW. hr. Borkowskiej
**przy ulicy Czarneckiego, licz. 6.**
główny wchód od placu Cłowego.
Dziękując Szanow. P. T. Publiczności za okazane dotychczas względy, żywię nadzieję, że Szanowna P. T. Publiczność takowymi i nadal moję pracownią, która przyjmuje **zamówienia na broń wszelkich systemów**, jako też przerabia ze strzelb kabzlowych na system najnowszy, niemniej uskutecznia wszelkie reperacje, jak najspieszniej po cenach, jak najumiarkowańszych, oraz przyjmuje zamówienia na naboje eksplodujące i t. p. — zaszczycić raczy. Przesyłkę uskutecznia spiesznie poczta (3127-5-1)

Zaopatrując się w **obuwie** od dłuższego czasu z **pracowni pana Wiszniewskiego** przy ulicy Syxtuskiej l. 25 gdzie Poczta — poczytujemy sobie za obowiązek zwrócić szczególną uwagę Publiczności na ten zakład, który p. Wiszniewski w bardzo biegły w swoim kunszcie, prowadzi z przykładną sumiennością zasługując sobie u swoich odbiorców na zupełne uznanie.
Obuwie pochodzące z pracowni p. Wiszniewskiego odznacza się nie tylko eleganckiem wykończeniem, lecz także rwałością i wygodą, gdyż p. Wiszniewski zwykł używać najlepszych materjałów, przytem ceny w magazynie obuwia p. W. są umiarkowane, a gdy do tego wszystkiego dodamy uprzejmość właściciela i gotowość jego na wszelkie życzenia i zachcenia odbiorców, to śmiało powiedzieć można, że każdy kto raz wejdzie w stosunek z p. W. gorąco polecać go będzie drugim. (3100—2—2)

**!Zmiana lokalu!**
**KONCESSIONOWANE BIURO**
wyłącznie
**nauczycielskie**
poleca
nauczycieli prywatnych, bony, guwernantki.
*Ulica Akademicka l. 16.*
*Krzyżanowska.*
(3118-8-1)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo Juljan Piotrowski.

Z drukarni Kornela Pillera.